

FIODOR DOSTOJEWSKI

ZBRODNIA I KARA



K Kolorowa
Klasyka









FIODOR DOSTOJEWSKI

ZBRODNIA I KARA

ilustracje
WOJTEK ŚWIERDZEWSKI

Zbrodnia i kara

Autor: Fiodor Dostojewski

Przekład i przypisy:
Zbigniew Podgórzec

Redakcja:
Agnieszka Antosiewicz

Ilustracje:
Wojtek Świerdzewski

Korekta:
Agnieszka Antosiewicz, Maria Zagnińska

© Copyright for the Polish translation by heirs of Zbigniew Podgórzec
© Copyright for this Edition by Wydawnictwo GREG®
2025

ISBN 978-83-7517-643-8

Wydawnictwo GREG®
ul. Klasztorna 2B
31-979 Kraków
tel. (12) 680 15 50
www.greg.pl

Księgarnia internetowa: www.greg.pl

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.
Wszystkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Okładka:
Wojtek Świerdzewski

Skład i łamanie:
Pracownia Register

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

Na początku lipca, gdy żar lał się z nieba, pod wieczór pewien młodzian wychynął ze swej komórki, którą odnajmował od lokatorów w zaułku S-nym¹, i niespiesznie, jakby nie mogąc się zdecydować, dokąd iść, skierował swe kroki w stronę mostu K-go².

Na schodach szczęśliwie uniknął spotkania ze swoją gospodynią. Komórka jego znajdowała się pod samym dachem wysokiej, pięciopiętrowej kamienicy i była bardziej podobna do szafy niż do izdebki mieszkalnej. Jejmość, od której odnajmował tę komórkę z wiktem i sprzątaniami dzierżawiła samodzielne mieszkanie piętro niżej, za każdym więc razem, gdy wychodził na ulicę, musiał przejść obok jej kuchni, której drzwi, wychodzące na klatkę schodową, ustawicznie były otwarte. Młodzieniec za każdym razem, gdy tamtędy przechodził, stawał się jakiś chorobliwie płochliwy, czego się wstydził i na myśl o tym aż się cały jeżył. Zalegał gospodyni z opłatą komornego i bał się spotkania z nią.

Działo się tak nie dlatego, że był tchórzliwy czy nieśmiały, gdyż było wręcz odwrotnie; od pewnego jednak czasu żył w stanie rozdrażnienia i napięcia, przypominającego hipochondrię. Tak bardzo zamknął się w sobie i odseparował od ludzi, że bał się nie tylko spotkania ze swoją gospodynią, ale w ogóle spotkania z kimkolwiek. Przygnębiony był własnym ubóstwem; ostatnimi jednak czasy przestał się kępować swoją ciężką sytuacją materialną. Własne sprawy doczesne przestały go zupełnie interesować, zresztą nie chciał sobie nimi zawracać głowy. W rzeczywistości żadnej tam gospodyni się nie bał, bez względu na zamiary jakie wobec niego żywiła. Jednak przystawać na schodach, wysłuchiwać całego tego bajdurzenia o wszelkich codziennych głupstewkach, które go nic a nic nie obchodziły, wszystkich tych natrętnych nalegań o komorne, gróźb i utyskiwań, a przy tym samemu wić się jak piskorz, przepraszać i łąać – o nie, lepiej już było przekraść się po schodach niczym kot, by nikt nie zauważył.

Tym razem strach przed spotkaniem z kredytorką był tak dojmujący, że znalazłszy się na ulicy, młodzieniec sam zdumiał się niepomiernie.

¹ Chodziło o zaułek Stolarski. W trakcie pisania *Zbrodni i kary* Dostojewski mieszkał na rogu zaułka Stolarskiego.

² Mowa o moście Kokuszki. Był on przerzucony przez Jekatieriński Kanał nieopodal domu kupca Wasyla Kokuszki. Stąd nazwa przyjęta w połowie XIX wieku.





Raskolnikow z ciekawością popatrzył na mówiącą. Była to dziobata wieśniaczka, lat może trzydziestu, cała posiniaczona, z opuchniętą górną wargą. Mówiła spokojnie, w jej strofowaniu pobrzmiwała nuta dostojności.

„Gdzieś wyczytałem – przypomniał sobie Raskolnikow, idąc dalej – jak to pewien skazany na śmierć, na godzinę przed egzekucją, mówi czy też myśli, że gdyby przyszło mu żyć gdzieś wysoko, na szczycie skały, na tak niewielkim skrawku, że ledwie można by tam było postawić stopy – a dokoła przepastne otchłanie, ocean, wieczny mrok, wieczna samotność i wieczna zawierucha – to lepsze takie życie, niż natychmiastowa śmierć! Byleby tylko żyć, żyć i żyć! Za wszelką cenę żyć – tylko żyć!... Taka jest prawda! Panie Jezu, ileż w tym jest prawdy! Człowiek jest niegodziwcem! Ale niegodziwcem jest również ten, kto go za coś takiego nazywa niegodziwcem” – dodał po chwili.

Skręcił w jakąś ulicę. „A więc to tu! Tu się mieści „Pałac Kryształowy”! Dopiero co Razumichin opowiadał o „Pałacu Kryształowym”. Tylko czego ja tutaj szukam?... Acha, chciałem poczytać!... Zosimow mówił, że w gazetach pisali...”

– Gazety macie? – zapytał, wchodząc do przestronnego westybulu nader nobliwej restauracji zajmującej kilka sal, dość zresztą pustych. Dwóch, może trzech gości siedziało przy herbatce, w najdalszej zaś sali towarzystwo złożone z czterech jego gościów piło szampana. Raskolnikowowi wydało się, że w kompanii tej mignął mu Zamiatow. Patrząc z daleka mógł się jednak omylić.

„A niech tam!” – pomyślał.

– Wódeczkę każe pan sobie podać? – zapytał kelner.

– Podaj herbatę. I przynieś mi tu gazety, stare, powiedzmy z pięciu dni, dostaniesz na wódkę.

– Wedle życzenia. Proszę, oto są dzisiejsze, łaskawy panie. A może jednak też wódeczki?

Po chwili przyniósł gazety z ostatnich kilku dni oraz herbatę. Raskolnikow rozsiadł się i zaczął je wertować: same ogłoszenia – „Izler⁶⁷ – Izler – Aztekowie⁶⁸ – Aztekowie – Bartola i Massimo – Aztekowie – Izler... Tfu! A niech to czart! Ale jest i kronika wypadków: spadła z drabiny – śmierć pijanego mieszczaucha w płomieniach – pożar na Piaskach – i jeszcze jeden pożar na Petersburskiej Stronie – i znowu pożar na Petersburskiej – i kolejny pożar na Petersburskiej – Izler – Izler – Izler – Massimo... Ale oto i jest...”

Odnalazł wreszcie to, czego szukał i zaczął czytać; wiersze skakały mu przed oczyma, doczytał jednak całą „informację” do końca i zachłannie ją odszukiwać w następnych numerach późniejszych, uzupełniających relacji. Ręce mu się trzęsły

⁶⁷ Iwan Izler, właściciel podmiejskiego kompleksu rozrywkowego, gdzie latem odbywały się wieczorki taneczne.

⁶⁸ Atrakcją petersburskiego lata 1865 roku były występy pary azteckich liliputów, Bartoli i Massimy.



dokoła głośno wyznaj: „To ja zabiłem!” Wtedy Bóg ponownie przywróci cię do życia. Pójdiesz? Pójdiesz? – dopytywała się ustawicznie, drżąc niczym w febrze, mocno ściskając jego dłonie w swoich i patrząc na niego rozplamionym wzrokiem.

Zdumiał się, a nawet zaskoczony był jej tak niespodziewanie radosnym nastrojem.

– Masz na myśli katorgę, Soniu? Mam złożyć donos na samego siebie? – zapytał ponuro.

– Masz cierpieniem odkupić siebie, oto co masz zrobić.

– Nie! Nie pójdę do nich, Soniu!

– A żyć, żyć jak będziesz? Jak będziesz z tym żyć? – zapytywała Sonia. – Czyż ta twoja terazniejsza udręka to życie? A co powiesz matce? (A co będzie z nimi, co z nimi się teraz stanie?) Zresztą, co ja mówię! Matkę i siostrę już przecież odepchnąłeś! Już je porzuciłeś! Boże kochany! – zawołała. – Sam wiesz to najlepiej! Jakże chcesz żyć, wyzbywszy się człowieczeństwa? Co z tobą teraz będzie?

– Nie bądź dzieckiem, Soniu – odezwał się cichym głosem. – Nie czuję się winny wobec nich... Dlaczego mam do nich pójść? Co im mam wyznaczyć? Wszystko to tylko urojenia... Sami mordują ludzi milionami i jeszcze za dobroczynność to sobie poczytują. Trefnisie z nich i nikkzemnicy, Soniu... Nie pójdę. I co ja im powiem: że zabiłem, pieniędzy nie wziąłem, bo tchórz mnie obleciał i pod kamieniem schowałem? – dodał ironicznie z jadowitym uśmiechem. – Przecież oni mnie wyśmieją, mówiąc: głupi, że nie wziął! Tchórz i głupiec! Oni niczego nie pojmą, Soniu, absolutnie niczego, zresztą nie są godni, by mnie zrozumieć. Po cóż więc mam iść? Nie pójdę. Nie bądź dzieckiem, Soniu...

– Zadręczysz się, zupełnie się zadręczysz – powtarzała Sonia, w niemym błaganu wyciągając do niego ręce.

– A może jeszcze nie wszystko stracone, może za dużo na siebie nagadałem – powiedział posępnym głosem, zamyśliwszy się – może jeszcze jestem człowiekiem, a nie wszą, może zbyt pospieszyłem się z osądzeniem samego siebie... Jeszcze sobie powalczę.

I na jego wargach pojawił się hardy uśmiech.

– Jednakże znosić takie udręki! I to przez całe życie, przez całe życie!...

– Przyzwyczaję się... – znowu się zamyślił. – Posłuchaj, Soniu – powiedział po dobrej minucie – dosyć tego lamentowania, czas, by przejść do sedna sprawy: przyszedłem ci powiedzieć, że są już na moim tropie, niebawem chyba mnie złapią...

– Ach! – zawołała Sonia strachliwie.

– Co się tak przelękałeś! Sama przecież chcesz, bym się oddał w ich ręce i na katorgę poszedł, a teraz cię to przeraża? Jest jednak jeden drobiazg: nie dam się im złapać. Jeszcze sobie z nimi powalczę i nic mi nie zrobią! Przeciwno mnie mają wyłącznie same tylko poszlaki. Wczoraj znalazłem się w wielkim niebezpieczeństwie i już myślałem, że jestem zgubiony; dzisiaj wszystko poszło ku lepszemu. Z poszlakami zaś jest tak, że na dwoje babka wróżyła, to znaczy, udowodnienie przez nich mojej winy, zawsze mogę wykorzystać na swoją obronę, rozumiesz? I tak też postępuję;



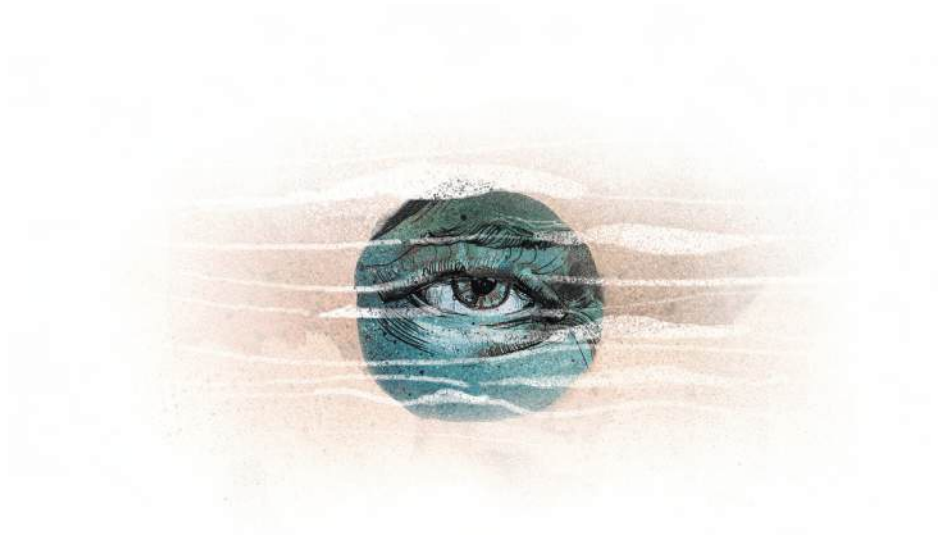




Nie otworzył jej i teraz, pewna myśl przemknęła mu natomiast przez głowę: „Czyż jej przekonania nie powinny stać się teraz również i moimi przekonaniem? A przynajmniej jej uczucia, jej uniesienia”.

Ona również przez cały dzień była do głębi wzruszona, a w nocy nawet znowu zaczęła niedomagać. Była jednak tak bezgranicznie szczęśliwa, że wręcz lękała się w to swoje szczęście uwierzyć. Siedem lat, tylko siedem lat! Na początku, w porywie szczęśliwego uniesienia, chwilami gotowi byli patrzeć na te siedem lat, jakby to było siedem dni. Nie wiedział on bowiem o tym, że nowe życie nie będzie mu dane za darmo, że będzie musiał drogo je jeszcze okupić, zapłacić za nie wielkim zmaganiem duchowym, jakie czeka go dopiero w przyszłości...

Ale tu zaczyna się już nowa historia, historia odnowy człowieka, jego powolnego odradzania się, stopniowego przechodzenia z jednego świata w drugi, historia wtapienia się w nową, absolutnie dotychczas nieznaną rzeczywistość. Mogłoby to jednak stać się tematem nowej opowieści – niniejsza opowieść nasza na tym bowiem się kończy.



SPIS TREŚCI

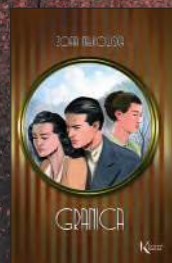
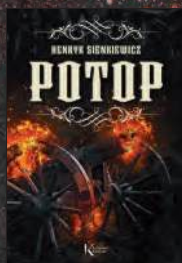
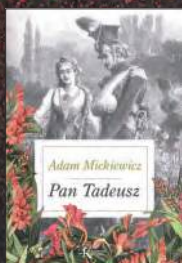
Część pierwsza	5
Część druga	87
Część trzecia.....	185
Część czwarta	259
Część piąta	333
Część szósta.....	401
Epilog.....	487





Zabij ją i weź jej pieniądze po to, by później, korzystając z nich, poświęcić się dla całej ludzkości i wspólnej sprawie. I jak sądzisz, czy ta jedna drobniuteńka zbrodnia zostanie zmazana przez tysiące drobnych uczynków? Jedno ludzkie życie i tysiąc ludzkich istnień zostanie uratowanych od demoralizacji i występków. Jedna śmierć w zamian za sto istnień...

W serii Kolorowa Klasyka polecamy także:



Wydawnictwo GREG
ul. Klasztorna 2B
31-979 Kraków
www.greg.pl

Kolorowa
Klasyka

ISBN 978-83-7517-643-8



9 788375 176438 >